

Teatr w telewizji

Kryminal w Londynie — i na wawelskim zamku

KOLEJNY cykl spektakli teatralnych na naszym szklanym ekranie otworzyła w miniony czwartek popularna „Kobra” angielską pozycją pt. „Morderstwo z konieczności” R. Plomleya. Ale mimo późnej wieczorowej pory i wymarzonego wprost akompaniamentu, jakim dla widowiska kryminalnego jest niepokojące pukanie o szyby autentycznego deszczu — sam nastrój nie wystarczył. Materiału wystarczyłoby właściwie na krótki skecz a nie pełnospektaklową sztukę. Zwolnienie tempa spektaklu i wyraźne „niezaangażowanie” aktorów dodatkowo osłabiało wrażenia. Nawet tak znakomity aktor jak Władysław Krasnowiecki nie czuł się tym razem dobrze w podwójnej roli ofiary i mordercy. Ano trudno, telewizja od lat z powodzeniem uczy nas cierpliwości, poczekamy zatem na prawdziwy kryminal.

W II Festiwalu Telewizyjnym Teatrów Dramatycznych Teatr im. Mickiewicza w Częstochowie — wslawiony wystawianiem polskich sztuk współczesnych — pokazał „Garść piasku” Jerzego Przeździeckiego, który swego czasu debiutował na tejże scenie „Dniem oczyszczenia”. „Garść piasku” nie jest sztuką najwyższego lotu i niemało włożył teatr trudu w jej opracowanie (wystarczy porównać z tekstem opublikowanym w „Dialogu”), w sumie jednak otrzymaliśmy pozycję interesującą i na pewno pożyteczną. Przykład młodego sportowca, gubiącego w alkoholu i przelotnych flirtach swą gorę, życiowe rozczarowanie, zawiedzione nadzieje... i własną słabość — to dobre wyjście do wciąż aktualnej i tak przez nas wszystkich lubianej dyskusji o młodzieży i jej złożonych problemach. Postać głównego bohatera żywo i przekonująco zarysował znany dobrze szerokiej publiczności z teatru i

filmu August Kowalczyk, odnosząc w tym wypadku potrójny sukces: jako aktor, reżyser spektaklu i dyrektor ambitnej częstochowskiej sceny. Już sam wybór pozycji włączonej do festiwalu zasługuje bowiem na pochwałę. Wiadomo wszak, że publiczność naszą interesuje przede wszystkim, to co wspólczesne i bliskie nam wszystkim.

OCZYWIŚCIE lubimy również klasykę, zwłaszcza tę wspartą pięknym kostiumem i historycznymi faktami. Włączenie jednak właśnie „Barbary Radziwiłłówny” Alojzego Felińskiego (napisanej w r. 1811) w ramy festiwalu przeznaczanego dla najbardziej masowej, telewizyjnej widowni, wydaje mi się eksperymentem nieco ryzykownym. Pozycja ta przypomniana po długiej przerwie przez Kazimierza Dejmka w Łodzi w r. 1958 — odniosła duży sukces. Kolejne jej premiery w Warszawie i Krakowie również zainteresowały publiczność. Ale teatr jest sztuką żywą i łatwiej mu dodać rumieńców (choćby przez grę barw) nawet tak klasycznej i posągowej „Barbarze”. Telewizja natomiast niczego nie tuszuje, szalenie natomiast podkreśla najmniejsze nawet niedostatki aktorskie, zwłaszcza w tego typu widowisku, opartym na recytacji.

Zawiódł również ambitny i — trzeba przyznać — interesujący pomysł przeniesienia akcji do wawelskich komnat a więc w miejsce, gdzie rzeczywiście rozegrała się królewska tragedia. Okazuje się, że takie sztuczne włączenie naturalnej scenerii daje rezultaty odwrotne i miast wzmocnić wymowę sztuki, osłabia ją. Kostiumy aktorów na tle pięknych arrasów wawelskich i oryginalnej zamkowej posadki dawały efekty zwykłej pstrokaczyny. Natomiast niespodzianki akustyczne, jakie to wnętrze zgotowało aktorom, raz po raz rozbijały teatralną iluzję. Nie wspominałabym już nawet żenującej „wstawki” z kamerzystą czy cieniem mikrofonu, dziwnie grającymi w tym autentycznym XVI-wiecznym tle.

SWOJĄ drogą trzeba przyznać, że krakowianie mieli tym razem prawdziwego pecha („Barbarę Radziwiłłównę” pokazał Teatr „Rozmaitości” z Krakowa, prowadzony przez Halinę Gryglaszewską, która wyreżyserowała spektakl i zagrała w nim — z powodzeniem — rolę królowej Bony). Usterki techniczne prześladowały nieszczęsną „Barbarę” od migotającego w komentarzu Tadeusza Kudlińskiego aż do tragicznego finału. A właściwie jego braku. Z powodu bowiem zakłóceń w odbiorze nie zobaczyliśmy w ogóle zakończenia tragedii i otrutej królowej nie pozwolono nawet zemrzeć na naszych oczach.

To niewątpliwy skandal i duża krzywda dla teatru i aktorki grającej — interesująco przecież — rolę Barbary (Z. Kalińska). Brak zakończenia sztuki trudno przecież uważać za przerwę w odbiorze. Może dla pracowników telewizji są to już sprawy codzienne i normalne, widz ma jednak prawo czuć się po prostu oszukany. Wątpię, czy takie zakończenie sztuki może zachęcić do lektury „Barbary Radziwiłłówny”, na pewno natomiast niejednego zniechęci do oglądania teatru w telewizji.

ZOFIA SIERADZKA